

NIWA POMORSKA

Dodatek literacki i oświatowy
do „Dziennika Pomorskiego“

Rok 2

CHOJNICE, dnia 1-go maja 1927 r.

Nr. 18

GŁOWA SWIĘTEJ BARBARY.

POWIEŚĆ Z PRZESZŁOŚCI POMORZA

NAPISAŁ X. KUJOT.

3. Bóg pamięta o nieszczęśliwym.

(Ciąg dalszy).

Minęło dziesięć lat ciężkiej niewoli dla księdza Piotra, który niemal się zmienił. Krok jego stał się cięższy, ręce zeszywniały, jak Włocz przepowiedział, a na twarzy okolonej grubo już zesiwiłym włosom wolała się niejedna smutna godzina głęboką zmarszczką, którą chyba długie szczęście zatrzeć zdca. Bo też nie małych doświadczeń Pańskich doznał nasz niewolnik i sługa, któremu matka w dalekiej krainie pewnie nad kolebką nie śpiewała o strasznym zwyczaju nad morzem kaszubskim i o ciężkich żarnach.

Oo tylko w gospodarstwie domowym domaga się rąk pracowitych, te z woli Włocza przypadło naszemu rozbitkowi. Więc i w podwórzu i w domu i na kłesku musiał się nwiać, a jeżeli niezwyčajny takiej roboty ustawał, ciemne oblicze gospodarza i fukliwe słowo zmusiły do ostatniego wytężenia, żeby ochronić zaślepionego od ostatniego grzechu. Jedyną pociechą był nieszczęśliwemu litościwy wzrok biednej Tomiśławy obawiającej się kary nieba za ciężki grzech męta i obaj chłopcy, osobliwie szybko podrastający Dargosław, któryby już w niejednym księdza był wyręczył, gdyby za wistny ojciec, który się widocznie potajemnie czemś gżył, jakoś wszędzie nie umiał przeszkodzić dłuższemu pozostaniu sam na sam syna z niewolnikiem. Mówili ludzie, że Włocz w dziesięciu tych latach jeden raz był w Pucku u spowiedzi. Odtąd tylko dla oka obchodził co rok raz do kościoła, lecz do spowiedzi nie przystępował. Gdy pierwsi zakonnicy w białych habitach przybyli roku 1170 pod Gdańsk i założyli Oliwę, nasz Włocz wybrał się do nich na tydzień, by pomóc w budowaniu. Widocznie sumienie jeszcze nie uśpione domagało się czegoś. Po tygodniu przystąpił do najstarszego księdza i prosił o spowiedź. Ale i tą razą odszedł zachmurzony, a w domu wymyślał na wszystkich, którzy mu w czem nie dogodzili. Z innymi gospodarzami niechętnie się schodził, bo za często musiał udawać, że nie słyszy zapytań o losie niewolnika, którego nie wypuszczał za zagrodę, żeby uspić pamięć o nim.

Ten przynajmniej tyle skorzystał z częstego widywania się z Dargosławem i podrastającym też Bożkiem, że poduczył się kilkudziesiąt wyrazów kaszubskich i jako tako mógł się wszystkiego dorozumieć, co nakazywał opryskliwy Włocz, albo o czem powiadał kłóren z młodych przyjacieli. Ale pomimo wszystko, jakże to ból dojmował biednemu rozbitkowi na myśl o dalekiej ojczyźnie, o krewnych, o wolności i „Bądź prze-

konanym, że na całe życie skazanym jesteś, słuchać każdego słowa złośliwego człowieka, który nawet chwili wytchnienia ci nie życzy, a przyjaznego słowa dla ciebie w sercu nie uloty, a pojdziesz nieszczęśliwe życie naszego przyjaciela. Jedyną otuchą w kłopotliwym położeniu była mu sardeczna modlitwa przed ciężką i męczącą torbą.

Dzisiaj zastajemy księdza Piotra znowu przy żarnach w owej komorze, którą z pierwszego dnia nędzy jego znamy. Ksiądz przywiązany za jego rękę, obraca w regularnym biegu kamienie, z pod których się sypie grube młewo. pod belką wisł najdroższy skarb rozbitka, a w jednym kącie widzimy trochę ułożonego suchego liścia i siano; to postowie biednego.

Wzrok jego spoczywa co raz na owej torbie a wargi poruszają się w cichej modlitwie, przerywanej często głębokim westchnieniem. — Bóże miłosierny, — mówi on żałośliwie, — pókiż ciężkiego doświadczenia! Już opadają me siły, a wątłe nogi ledwie dźwigają ciężar ciała obojętne wycieńczonego ciężką robotą. A w sercu żalność, boć pocieszy duchowej już od lat dziesięciu nie dobiegałem! Pozwól Panie, bym za wstawieniem się św. Barbary mógł rybną przyjaźnią do serca Baranka Bożego! Dodaj mi siły i cierpliwości, bym się tu w nędzy Tobie spodobał! — I zaczął ikać odmawiać komplet z paciery kapłańskich, która umiała na pamięć. I mówił ten śliczny psalm „Kto się w opiekę“, który dziś śpiewamy w każdym utrapieniu. Z jakąż to uwagą zastanawiał się nad każdym słowem tej wzniosłej pieśni, gdy przyszedł zaś do słów Symeona: Teraz puszczaj Panie sługę Twego, albowiem widziały oczy moje zbawienie, któreś zgotował... płakał jak dziecko i prosił Boga: — Niechże zobaczę tego oczekiwanego przez wszystkie narody! Święta Barbaro módl się za mną!

Ukręczywszy paciery, zanucił rzewnym głosem ową antyfonę łacińską; „Salve Regina“, która po naszych kościołach się rozlewa w nierównanej harmonii pieśni „Witaj Królowa!“

Gdy biedny niewolnik tak się modlił samotny w chacie, na zachodnim końcu Rumi pewnał niemały gwar, który wszystkich mieszkańców z chat wywabił. Droga od Rady wjeżdżał liczny orszak strojnych i zbrojnych wojowników, a za nimi na małym lekkim siwku jechał wysoki, poważny mał w czerwonym ka peluszu i w brunatnym cienkim płaszczu, z pod którego, wyglądał ciężki złoty krzyż zwieszający się na długim złotym łańcuchu.

Stopy tego jeźdźca spoczywały w szatach strzemionach, kiedy jadący przed nim tylko wązlotkie, choć cięższe mieli od dziś używanych. Po obu stronach tego dostojnego jeźdźcy trzymało się trochę za nim dwu w czarne długie suknie ubranych mężczyzn, widocznie księży. Za nimi konno jechali słudzy a w tyle dwa wozy ciężarne, zaprzężone silnymi cwozami. Zbrojni na czele w ciepłych ciężkich ubiorach, jak

którego stało, misli każdy przez pierś przepasaną szeroką pasową wetęgę, na której wyszyte były jakies znaki przestrojone u wier obu biskupim kapeluszem. Broń ich stanowiły ciężkie miecze, które teraz przez siodła przelożyli, i luki z kolczanymi pełnemi strzaskami, przypięte u lewego bo u siodeł.

Właśnie ksiądz biskup kamiński, z Kamienia pomorskiego, bo to był nasz dostojny jeździec, wjeżdżał do wsi poruszając się w siodle, bo widocznie takiej jazdy nie był zwyczajny...

— Księżę kapelanie — przemówił do jedzącego po lewej stronie księdza, możnaby się spytać, jaka to wieś i czy daleko jeszcze do tego nowego klasztoru. Gdyby jeszcze daleko, możnaby się oberzedzić za gospodą i poprosić trochę, bo dojechali już się mogą nie mało.

Usłużny ksiądz zboczył do najbliższej chaty, z której ciekawie patrzyła niewiasta na przejeżdżających i wnet wrócił do księdza biskupa.

— Wieś ta Rumia się nazywa, dostojny Panie, a ztąd do tego klasztoru jeszcze jakie półtrzęciej mili, więc oplaciłoby się stanąć, ale gospody żadnej tu nie ma.

— To możaby stanąć w domu jakiego z włościan ale patrzymy kóren najschłodniejszy —

Tak jadą przez wieś, przypatrując się chatom ciosowym, niepewni, do której zastukać. Naraz słyszą śpiew męzki, pełny a niewymownie rzewny na nutę czysto kościelną. Ksiądz biskup zatrzymuje konia, a z nim obaj towarzysze i wszyscy trzej przysłuchują się wznieślemu śpiewowi pochodzącemu z chaty. „Eja ergo, advocata nostra“ (otóż więc orędowniczka nasza) ciągnie pawna wysłuchania nuta, i silnym porywem pierś wola: „Ille tuos misericordes oculos ad nos convertit!“ (owe twe litościwe oczy na nas zwróć).

— A to niespodzianka! — zawołał ksiądz biskup. — Księżę kapelanie, przekona że się, kto tam w środku ziemi kaszubskiej tak pięknie i wzorowo nauczył się śpiewać po łacinie. Może też w tej chacie będzie można spocząć, bo jeżeli gospodarz łacinnik, będzie wiedział, jak nas przyjąć i jak nam posłużyć.

Już się ksiądz kapelan zsunął z konia i podążył do chaty. Kilka okamgnień potrwało, gdy wrócił zdziwiony czemś nadzwyczajnym, czego widocznie pojął jeszcze nie mógł.

— Tam onowne rzeczy się dzieją, — wyjęknął nakeniec. — Wchodzę do chaty i szukam człowieka; lecz w przestronnej izbie nikogo nie zastaję. Idę tedy do komory, a tam widzę starca o wznieślej postaci, obracającego w ubiorze tutejszych krajowców żarna. Pytam go się, czy on tu gospodarzem, a on na to po łacinie odpowiada: — nie gospodarzem, ale rozbitkiem jestem i niewolnikiem już od dziesięciu lat tu banie nie trzymanym, choć jestem biskupem rzymskiego kościoła; pomóż jeżeli masz serce litościwe!

Wiadomość tak niespodziana uderzyła wszystkich. Ksiądz Biskup siedział nieruchomy z oznakami zdumienia na twarzy, a bliźni schylił się w siodłach ku księdzu kapelanowi, by słyszeć każde słówko. Na koniec przerwało się milczenie. Jeden drugiemu szepce niepojęte jeszcze słowa: biskup, niewolnik, które się błyskawicą po całym orszaku rozniosły.

— Wyprowadzić go z chaty, bym się mógł o prawdzie przekonać! — zawołał biskup.

— Trudno, przewieszony, — odparł kapitan, — bo przywiązany łańcuchem do żarna.

— Ja, ja go odbiję! Pozwólcie mi księżę biskupie, mnie samemu! Tą szablą rozetną wszystkie ogniwa, choćby na palec grabe, jak miękkie sitowie! — I już stanął ślinny drab sążnistego wzrostu przy ko-

niu biskupiu i wywił potężną szablą w kolo siebie, jakby wszystkich chciał odpędzić. — Tej jednej łaski dozwólcie waszemu Sisie, a będę kontent na całe życie.

— Więc idź Siszło, a spraw się prędko i dobrze! — To już zdajcie na mój siekacz. Ani włoska u ręki mu nie utnę, a wolny będzie, — zawołał uradowany olbrzym i jednym sussem zginął w ohacie, porwawszy księdza kapelana na przewodnika.

Gdy stanął w nędznej komorze i zobaczył wyschłego starca ledwie się wlokącego przy ciężkich żarnach, aż podskoczył i przypadł do nóg osłupiałego. — A te niewartasy, te pluchy, świętego męta, biskupa tak męczył! — Wyjąkując prędko te słowa, przylutych wychudłą ręką niewolnika do ust i gęstymi ją okrywał pocałunkami. — Ale dajcie im, — zawołał wstając. — No, żeby was naprzód uwolnić od tych brzękotów, podnieście tylko, wielobny ojczu, tę rękę przywiązaną, żeby się pod nią mógł dobrze zamierzyć!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pieśni-frantówki ludu Pomorskiego.

Tam na górze błyszczą róże,
ja ich zerwać nie mogę.
Pokochołem ładne dziewczę,
a jej dostać nie mogę.

Idzie ona przez miasteczko
koreczki*) jej brzakają.
Koledzy mi pokazują:
Patrz tam idzie twa miła.

„Nie wskazujcie mi jej więcej,
jej widzieć już nie chcę.
Jak ją jeszcze raz zobaczę,
te ją mieczem przebiję.“

„Teraz chcesz mnie mieczem przebić,
dawniej żeś mnie miłował; —
Jak chodziałem do altany,
toś mnie ścisnął, całował.“

„Nie wie ojciec ani matka,
ilem nocek nie spała
i dla siebie mój najmilszy
tyle noy płakała.“

(Podał Głiszczyński — Glienc.)

*) drewniaki.

Teksty kaszubskie.

F. Sędzicki.

Jak to Frant jedynge okratnygo króla
rozumu nauczył.

(Dokończenie).

— Hm — rzechotol se Frant, — jo jem prosty człowiek, ale Kaszuba. Moje objaśnienie też będzie proste. Westarczelobę cy, ciebas se zamiast tych pa-

nów zaprzagli w jermio i dol se cwiczec, jak te ich cwiczysz. Ale je mom i inny przyklad. Jeno co je dostane za te moja rade?

— Co le chceš. Moteš chćebe ministrem ostac.

— Jeteli mnie dodesz swoj carkę, co zem przed chwila z wilgotnych pieluch stawu weretowoi, — bo juž twoigo okrucenstwa zultec nie moze — to zgoda, odpowiedzol Frant.

— Moge cy przerzec wazestko — odpowiedzol król, co se jeseze baržyja prerazel, ciec czul, jak se i jeho carka utopiš chcala — bo wiem, ze te na moja oborobe rade i odpowiednigo przekladu nie wenezesz.

— A na to Frant.

— Nie draszujme slova, le zabierzme se do sprawe. Rozkosz weprzadz se tamtym jagomoscem, sadnij sobie tu na murawie pod tą brzoską i sluchej.

I Frant zaczał swoje opowidani:

— Bele to roz na swisce taci czase, ze se nie jeno sammi ludze ze soba, ale i zwieržeta a tež i rosline, zelska i drzewa poroznowiš umniale.

Tade to jednygo razu rosta nad brzedziem wiel dzigo mekradla wesoko brzoska i wenezela se nad in nemi drzewami, ze mo taku ladnu bielachnu suknie i taci jedwabisty swiežo—zelony liste, co se pichylala na dol jak oudowne warkocze czaružny królewne.

Jaž jednygo razu prze ny brzoska zaczeła pyskac swintuche i porę korzenlów wexopala. Przechylil se na te stronę czubek brzoski i uzdrzol na korzenie.

Zaszamotol se i tržal jaž wsezsy galžeci i liste oaly brzoski zadergetala i zawolol:

— Tyl co to za szkaradny rzace, ze korzenie, co to na swiat bošci nie wygladaja, a jeno wiedno w bagnie i w psakudztwie ryja.

Uczale niezczęany korzeni nen glos czubka brzoski i jeden z nich — najbardziejžy odpowidzol:

— Jeno se tak z nas nie weszczerte, czubku. Choc te jes koruna naszego drzewa, to nie moze se co natrzęsac z nas, i ciebasme nie pyskali w zemni, to bes te tak tam u gore nie paradowoi; ani w sluchu se nie stklei ani tež wiatr be ciebie nie dziwetoi i nie lechcel laskotli wie. Tee te nam nie pogarde w raze, ale wdžecz noše okozac jas winien, bo to me na twu urode i parade w zemni grzebac i slucha werzet se muszme.

Zrozumiol to czubek brzoski i od tego czasu abylol se jeseze nity i otdad to juž colemž: wiedno stary brzošci czubci opuszczaja, a jeno te nowy, to sa jeseze troche tarachowaty i wesoko i proste czubek w gore unozaja.

— Tak mowi moja bejka — k nczel Frant swoje opowidani. Jožem jij nie zniewichoi, jeno mnie ja opowidzol stary Kutrzella. A ten wjedno prowde mowi. I mesale, tes mnie królu zrozumiol. Z toba je tak jak i z tym brzožowym czubciem i nymi korzeniami. Te jes wesoko na tronie i gardžysz i poniewie rozž tych, so na ciebie pracuja i twoja poradę, poche i potęge podtrzymuja. Tee teo nie szkalowac ich i gardžec nimi, ale szanowac ich powinienes.

Czes tero rozumioš?

Zameslel se król na chwili, a tee trzasi szablę o kamien, ze jeno skre dalo i zawolol:

— Człowiku, te mozeš prowde. Ale czemu to zoden z moich lizuniów i grzedarków předžy mnie tego nie powidzol? Tee te jes jeno prosty człowiek, a tamcy mądrosce bez caily lata w szkólach zjedeli i juž ich czuo przemadžžalošcia.

— Jo jem frant — odpowidzol na to chłopok — i dlotožem žem ni moğı zetao tak wiele, bo žem na to pieniędžy nimioš. Bez to tež nimam smužku zaku ržonygo kuržem kijažkwym bez to tež jasni wsezestko widžę. — Moja szkoła je žeoy. A pozatym pochodžę z Kaszuba, a Kaszuba to každy — chobe i najglupszy mo perženę swoji mądrosce w głowie. Als i te kró

lu tež jes uczony i mądry, tes i te powinienes to sobie wekomblanowac i powodu do pomstowanu na tamtych ni mozeš.

— I to je prowda! — odpowidzol znown król.

— Jo widžę, ze te jes doprawde mądry człowiek a osobltwie prosty i odwožny. Jo ce naprowde zrobię ministrem i dam ržade w kraju.

— Ten tytuł je wezue, zebe pokazac Marynce, ze i ze mnie, z Franta, cos bec moze. Ale na uržad ten jo nie jem lczany, bo to ministrami ostowaja nieroz taci ludze, ze jaž wetyd se do nich zalozac. A prže tym jo jeseze twoi cörce musze pomodz se utopiš, božem jij przedžy w tym przeszkodzel.

A prócz tego i twoigo ministra zluzowac beđe muszol u zbužców, bo zbužce mu bulaw do skrobaniu pewno nie beđa w stanie nastaržec.

Rozesmiol se król:

— Tego ministra, ze on ciebie tu przestoi, koze wetupic i sprowadzec a co do moji cörce, to na jij smatere pozwolio nimoge i niech ona ciebie beđe mniala za chłopa. Takich frantów w rodzenie królewšci czasem potrzeba.

Co Frant mniol robic? Oleda go sluchal król, to i on sluchac muszol króla. Pojšchol z nim do stolice, gdze mu cailo južnos, co se jo zbuntowac pržeoyw królowi chcala z wielžim tryumfem przewitelo. Bo juž se po caily kraiu wiadom še se rozeszla ze otdad król se pomierzkowoi i narodu wižyoi poniewierac nie mesil.

Zaro tež w kraju nastala inay poržadci.

Frantowi se te žeoy na królewšcim dworze zdowalo troszke lalskowaty, ale ze on innygo sšokneciu, odkad zdomu go wgael ni mniol, tes postanowil tam ostac. Zresztakrólewna do niego se umižila i zalecal jak najlepší mogla, a Frant moğı robic co obcol. I jeno go gorželo, ze dworzanie jego nie chcolli tak sluchac jeho spiewów i muzel jak peroboi i dzewose na wse.

Ale ze on bel człowicem rozeždnym, te rozumniol, ze jakuš ofiarę trzeba zrobic.

Jaž jednygo razu cieš szpacarowal po palacu królewšcim czul, ze se gwoitem dobijała do palacu jakos kobleta.

Stoga ja mitygowal, ale kozol jij iat do jednygo z pisarkoi. Ale ona na to:

— Jo nie godam z želajym pisarcem, jeno jo chce mowic ze samym królem abo ministram.

Stoga nie chcol jij puscat. Ale Frant bel cškawy, co to za biolka i co ona chcala od ministra. Kozol ja przeprowadzec do siebie i zapytol czego ona chce?

A te poznal on, ze to Marynka, co to jemu kessa dala. Ale nie dol tego po sobie poznad.

Als i Marynka go poznala, jeno swoim ocem nie dowierzala i zaczeła swoje:

— Oze pan je ministram? B jo jeno rezanym ministrem chce godac.

— Jo nim jem i jesez czynwižyji. I powlodej biagołowo, o co cy chodžy.

— Prychodžę ze skargu do pana ministra o wena grodeni mnie za utrate gospodarswa i moigo chłopa.

— A z jaci racji?

— Z tyj racji, ze jeden z poprzednikoi pana bel ujęty bez zbužoiw i ty mu kozoli bulawe skrobac. Ale ze i on i tego nie umniol dobrze, tes pržeale często do awanture — oleda zbužce do dam przesali, a obžod ugotowany nie bel. Tak nen minister zacžynel kraso i roz mnie zabrol caily kubelk bulaw, co žem na obžed memu chłopu uskrobala.

— No to ten kubelk me z kasa zapłacyme.

— Hoho, žabe to beło jeno to. Ale bez to jo žem na czas obžadu chłopu nie ugotowala, chłop mnie webil i wepedzel. A cie se dowladzel, ze to zbužce

mu wzięli obłęd weruszał do nich i tam oni go zabili. Tak ja jem strasno gospodarstwa i chłopca i za to ja chce bec wenaagredzono.

— Teo te żes mniała nygo Szemka...

— A prawie! — zawołała Marynka, co już ter o była pewną, że Frant je nym ministrem i bez to smnielszą się stała.

— I tede przechodziś do mnie, co żes mnie nie choła?

— A prawie bez to. Bo cze ja żem cy ni mó-wiła, że te są jeno na ministra, abo na jacięgo innygo leleka nadejesz. Posłuchol żes, mojj rade i bez to też tero wdzięczność jes mnie winien.

Jem ministrem i postępuję tak, jak uczywy minister postępować winien i nie oglądam się na mój interes jeno na dobro kraju. To, co te niewiasto mówisz, nie je jeszcze wiarogodny bo trzeba na to świadków a osobliwie nygo ministra, co był u zbućców.

— Oh! — odpowiedziała Marynka — ten tu je, bo on akuratnie ze mną przeszedł i zaro go zawołam.

Przeszedł minister i potwierdził, że tak je, jak Marynka opowiadała.

— A widzysz, ministrze Franco, tryjmfowała da-lyj Marynka. Ze to bez waju urzędnika żem stracela chłopca to też po sprawiedliwosce waju państwo winno mnie tero dac innygo — ciebie.

— Oh! Co to, to nie zawołała w tyj chwili królewionka, co się tyj rozmowie za dwierzami prze-słuchiwała a tee naroz wbiegła Frant mnie od smnier-ce samobójczy uratował, to znaczy zatrzymał mnie na tym świecie i bez to prze mnie ostac muszy bo zresztą je ze mną zaszubiony (znaczy: zaręczony dop. red.) i je go nie puszczę. Zresztą chłop, cie nim roz dzew-czyna pogardzy, to muszy umiec tyle honoru, że jij więcej nie chce.

Ale Marynka zaczęła znou ustegowac po swoje-mu, i żebe oba kabiete uceszeo, odpowiedzol Frant:

— Jeno są uspokojta niewiaste. Już ja tę sprawę rozsądzę.

A do nygo downiejszygo ministra są zwrócał:

— Bez ciebie to na niewiasta stracela chopca, to tero powinienes się z nią opartolic.

A na to nen minister.

— Po słusznosce to be tak beło.

I ja żem są nad tym zastanowił. Ale jażem ja był doży czas u zbućców, a z tą niewiastą jeno żem szedł ten kawalek drodzi. A jednak bez ten czas ona mnie tak ususzela głowę, że bam woloł ja wróceo nazod do zbućców i bec bez nich zakatrupiony, aniżeli zec choc rok z tą biotką zec.

Hm, to je zle — mrukał Frant. — Trzeba tede tę sprawę inaczy rozsądzec.

— A choc pamięteł o tym, że Marynka mu są tak podobala i ona jeszcze terozku była szekowną ko-bietą, to jednak mniol jeszcze do nij taką ankórkę w dusze, za tę odprawę, że ona Szemka i bele parobka mnili od niego obcał, że odpowiedzol tak:

— Jako minister daje w tym sporze, co tu tero przed nami są toczy taci werok: Ta niewiasta nie obcała Franta za chłopca, bo mówiła, że są jeno na ministra nadaje, tee nie może [go też dostać i dzys, ciede ten Frant je ministrem. A że ona koniecznie chce miec chłopca, od naszego państwa a pierwyj po-wiedzala, że woli bele parobka mnili niż Franta, tee państwo nasze jij daje na chłopca slugę ministarsjalnygo. Tak mówię i tak imieniem prawa są stanle. — I to mówiac Frant wszedł z królewną pod ręką.

Wegodywała jeszcze Marynka jacię czas, ale wkrót-ce zmytygowala, bo co ja mniała zrobic. Wzgardzela Frantem, to tero muszala bez rada, że dostala prze-najnij jego slugę.

I na tym ta bojka są kuńczy.

Nowinki dla podlotków

Poniżej podajemy uzupełnienie wiersza Milusi Mi-lusickiej z Działu „Nowinki dla podlotków“, który ze względu technicznych podajemy tym razem wyjątkowo w „Niwie“. Jest to ostatni wiersz Milusi Milusickiej napisany dla „Ogniska“ i „Nowinek“.

Nieudały wiersz Milusickiej.

I znou wiosna, znou maj
i słońca pełne dni.
Zielenią się las i... gaj
A wszak znów smutno... mi.

Przynosi wiosna tak co rok
swą radość, wdzięczny strój,
a wszakż znów powraca... mrok
i klęska tłoczy... znój.

A lata idą, idą wciąż
uchodzi młodość, wdzięk.
Nie zjawia się on tylko... mąż. —
Ot! serca lęk i... jęk.

O wiosno, co przystajasz tak
co roku drzewa — las
pamiętaj też i o nas... wszak
i odmłódź także... nas. —

Zagadki ludowe.

Podala Urszula Trawicka.

I.

Siedzi panna w murze
w czerwonym kapturze

(w. Sec)

II.

Obodzi wach po górach
w czerwonych cholewach.

(bojan)

III.

Był umarty jadł i pił

IV.

Wisi dusza koło ratusza
przyszedł duch, szturnął ją w brzuch.

(kódka)

(był u siostry Mary)

Podal Jan Banach z Chojnic.

Niniejszy numer jest ostatnim numerem „Niwy Pomorskiej“, redagowanym przez dotychczasowego redaktora naczelnego „Dziennika i Ludu Pomorskiego“, Franciszka Sędzickiego, który usuwa się z polityki i poświęcić się zamierza cdaż wyłącznie pracy kulturalno—literackiej przechodząc do redakcji „Fal“, pisma poświęconego literaturze i sztuce oraz kulturalnym sadaniom Pomorza a wychodzącego w Sopocie i w Warszawie.

Redaktor odpowiedzialny: Paweł Kaszubowski.
Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego“
w Chojnicach.